

**Pablo Trincia**

**Diabły z Bassa Modenese  
Najmroczniejsze śledztwo  
współczesnych Włoch**

**Tłumaczenie**

**Tomasz Kwiecień**

*Deborze, Yasmine i Sebastianowi*

*Finale Emilia, sobota 1 kwietnia 1995*

Czaszkę znalazło na brzegu rzeki pięciu trzynastolatków. Tamtej soboty około południa chłopcy poszli łowić ryby przy zagajniku porastającym lewy brzeg Panaro, tam gdzie rzeka lekko zakręca tuż przed Finale Emilia.

Trzech z nich miało na imię Andrea, jeden Davide i jeden Matteo. To właśnie ten ostatni podniósł gładką białą czaszkę, myląc ją początkowo z dużym kamieniem na wpół przykrytym błotem kilka metrów od brzegu.

– O, kurwa! – krzyknął przerażony i upuścił kość na ziemię.

Chłopców owładnęło przerażenie zmieszane z ekscytacją. Gdy się nieco otrząsnęli, wsunęli gałązkę do jamy nosowej znaleziska, włożyli czaszkę do plastikowej torby, którą jeden z nich miał ze sobą, minęli wysadzaną drzewami aleję biegnącą wzdłuż cmentarnego ogrodzenia i pobiegli zanieść przedmiot do urzędu gminy.

Po drodze trafili na pieszy patrol policji.

– Znaleźliśmy czaszkę! Prawdziwą! Była nad rzeką! – przekrzykiwali się zdyszani.

Policjanci byli podejrzliwi.

– Dziś pierwszy kwietnia, nie wciskajcie nam kitu.

Jednak po sprawdzeniu zawartości reklamówki natychmiast zaalarmowali komisariat w Mirandoli i poprosili chłopców, aby zaprowadzili ich na miejsce odkrycia. Funkcjonariusz Marco Catalani kazał sobie wskazać dokładne miejsce, w którym zobaczyli czaszkę, i zaczął badać okolicę, nic jednak nie znalazł.

Wciąż poruszeni chłopcy wrócili do domu, złożywшы obietnicę, że nikomu nie powiedzą o znalezisku. Policjanci wezwali zespół kryminalistyczny i poinformowali prokuratorę z Modeny, Eleonorę De Marco. Ta z kolei zatelefonowała do Giovanniego Beduschiego, anatomopatologa ze szpitala w Modenie. Niedługo potem Beduschi miał reklamówkę na swoim stole laboratoryjnym.

Czaszka należała niewątpliwie do przedstawiciela rodzaju ludzkiego. Okoliczności znaleziska również nie były szczególnie niezwykle. Co jakiś czas do instytutu, którym kierował Beduschi, trafiały ludzkie szczątki znajdowane w pobliżu kościołów lub zapomnianych grobów masowych.

Tak było na przykład cztery lata wcześniej, w 1991 roku, kiedy to pewien starszy mężczyzna z Campagnola Emilia udał się do swego burmistrza i wskazał miejsce, gdzie miały zostać pochowane szczątki ofiar masakry w Cavon, jednej z licznych zbrodni dokonanych w ostatnich dniach tak zwanej włoskiej wojny domowej 1943–1945. Wtedy do laboratorium patologa sądowego i jego współpracowników trafiło wiele kości wraz z resztkami ubrań i butów.

Jednak ten przypadek był nietypowy. Dlaczego tylko czaszka? Gdzie były piszczele, kości udowe i inne części szkieletu, które powinny się znajdować w pobliżu? Czy to już wszystko? Tak, wszystko, więcej nie znaleźliśmy,

usłyszał w odpowiedzi. Jak gdyby ktoś odciął głowę, rzucił ją nieopodal rzeki, a resztę ciała ukrył gdzie indziej. Beduschi rozłożył ręce i kontynuował oględziny.

Zaznaczył w raporcie, że czaszka była niewielka. Jej sklepienie nie nosiło śladów urazów spowodowanych na przykład przez broń palną. Twarzoczaszce brakowało żuchwy, która odpadła w wyniku procesów rozkładu. Podobny los spotkał przednie zęby: brakowało dwóch siekaczy i dwóch kłów. Jednak dobrze zachowane pozostałe części uzębienia i smukłe kości jarzmowe pozwoliły ustalić w pewnym przybliżeniu, że była to osoba młoda. Prawdopodobnie nastolatek. A raczej nastolatka. Ponieważ znalezisko było niemal całkowicie pozbawione materiału organicznego, takiego jak tkanki czy szczątki włosów, Beduschi wysunął hipotezę, że śmierć nastąpiła co najmniej piętnaście lat wcześniej, a nawet założył – tu kierował się bardziej historyczną intuicją niż wiedzą biologiczną – że czaszka należała do młodej dziewczyny, która zmarła wiele lat temu, prawdopodobnie podczas drugiej wojny światowej.

Być może również dlatego zdecydował, poinformowawszy wcześniej prokuraturę, że nie przeprowadzi datowania izotopowego, kosztownego i zarezerwowanego dla spraw nowszych lub mających znaczenie kryminalne.

Beduschi wykonał dwa zdjęcia, po czym czaszka dołączyła do mauzoleum anonimowych znalezisk, które przeszłość od czasu do czasu nam zwraca, nie kłopotząc się udzielaniem wyjaśnień.

Profesor próbował wraz z kolegami ze swojego wydziału odgadnąć najbardziej prawdopodobny powód, dla którego ta bezzębna, samotna głowa znalazła się zaledwie kilka kroków od rzeki. W końcu uznali, że musiała ona należeć do jakiegoś studenta medycyny, który nie chcąc już trzymać jej

w domu, zamiast dostarczyć ją na cmentarz, pozbył się jej w najszybszy i najprostszy sposób.

Sprawa czaszki z Panaro otworzyła się i zamknęła niemal natychmiast. Beduschi nie myślał o niej więcej. Trzy lata później owa część istoty ludzkiej znaleziona kilkaset metrów od lokalnego cmentarza miała ponownie pojawić się w opowieści o udręce, łzach i śmierci.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**INFEKCJA**

W październiku 2014 roku przebywałem w Monrovi, stolicy Liberii. Miałem tam nakręcić dokument telewizyjny o siejącej spustoszenie w tym biednym zakątku Afryki Zachodniej epidemii eboli. Całe miasto było w stanie pogotowia. W ciągu kilku miesięcy śmiertelny wirus pozbawił życia tysiące ludzi, a personel medyczny licznych agencji i organizacji z całego świata wciąż walczył o opanowanie choroby. Ulice były pełne plakatów wzywających do unikania, jak tylko się da, wszelkich form kontaktu fizycznego, a woń środków dezynfekujących wypełniała gorące, wilgotne powietrze.

Pewnego ranka jechałem za jedną z karetek stale krążących wśród blaszanych ruder najbiedniejszych dzielnic, aby jak najszybciej zebrać ciała zmarłych. Grzebanie bliskich było surowo zabronione. Poprzedniego wieczoru muzułmańska rodzina z dzielnicy położonej blisko morza zadzwoniła na numer alarmowy, aby zgłosić śmierć dziecka. Kiedy przyjechałem, sanitariusze byli już przy pracy. Małe ciało zostało zamknięte w worku i ułożone na trawie. Krople deszczu uderzały

o biały plastik. Zmarłe kilka godzin wcześniej dziecko miało zaledwie osiem miesięcy. Pod drzewem zebrała się grupa sąsiadów, a pracownicy pogotowia ładowali ciało na półciężarówkę. Mieli na sobie białe kombinezony, maski, gogle, żółte rękawiczki i bez przerwy dezynfekowali się sprayem. Jeden z nich podszedł do dziadka dziecka.

– Jak tylko skończymy, proszę spalić materac, na którym spało dziecko.

Mężczyzna przytaknął bez słowa. Kiedy zabrano małe ciało, matka dziecka wybuchnęła niekontrolowanym szlochem. Sfilmowaliśmy tę scenę, po czym zwróciłem się do Franceski, pracującej ze mną operatorce.

– Świetnie, to było dobre. Idziemy na obiad? – Mrugnąłem do niej z uśmiechem.

Że było w tym coś głęboko niewłaściwego, dotarło do mnie wieczorem, gdy siedząc w pokoju hotelowym, wróciłem myślami do tego zdarzenia. Ta wstrząsająca scena nie poruszyła mnie w najmniejszym stopniu. Przyjąłem ją z obojętnością i cynizmem. I to nie był pierwszy raz, kiedy tak reagowałem. Nagle zdałem sobie sprawę, że płacząca matka i martwe dziecko nie są dla mnie prawdziwymi ludźmi, lecz jedynie drugoplanowymi postaciami w filmie, w którym to ja byłem głównym bohaterem. Ich nieszczęście nie miało dla mnie większego znaczenia.

Po powrocie do kraju wciąż o tym myślałem. Miałem trzydzieści siedem lat i nagle poczułem się kimś bardzo innym od chłopaka, który dekadę wcześniej zajął się dziennikarstwem, wierząc, że leżą mu na sercu sprawy innych ludzi. Zadałem sobie pytanie, kim, czym się stałem.

\*

Musiałem zacząć od nowa. Zakochać się w historii zdolnej nadać sens rzeczywistości. Zanurzyć się w niej, dać się ponieść jej nurtowi.

Pewnego wieczoru, który spędzałem razem z Lucą, znajomym reżyserem radiowym, Luca przywołał mnie do komputera:

– Chodź tutaj, zobacz ten artykuł.

Tekst opowiadał historię Loreny Morselli, przedszkolanki z Massa Finalese, niewielkiej miejscowości w prowincji\* Modena. Ta kobieta przeszła przez koszmar niezwykle długiego i bolesnego procesu sądowego. Została oskarżona o satanistyczne rytuały i przemoc seksualną wobec czwórki swoich małych dzieci, które jej odebrano i od tamtej pory ich nie widziała.

Ta historia mroziła krew w żyłach. O świcie 12 listopada 1998 roku policja zjawiała się w domu kobiety i jej męża Delfina Covezziego\*\* z nakazem zabrania dzieci wydanym przez sąd dla nieletnich w Bolonii. Ośmioletnia bratanica Loreny, Cristina, znajdująca się pod kuratelą opieki społecznej, oskarżyła ich o udział w sekcie zdeprawowanych morderców, którzy nocami zabierali dzieci z Massa Finalese na miejscowe cmentarze, aby je gwałcić, wypożyczać gangowi pedofilów i zmuszać do uczestnictwa w składaniu ofiar z ludzi. Horror, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, wydarzył się na prowincji pełnej pól ornych, podrzędnych

---

\* Prowincja we Włoszech to jednostka administracyjna i samorządowa drugiego stopnia, jednak o szerszych kompetencjach niż nasz powiat (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\*\* Poza rzadkimi wypadkami, wymagającymi odrębnej procedury administracyjnej, kobiety we Włoszech nie zmieniają nazwiska po ślubie, choć zwyczajowo nazywa się je „po mężu”, i tak żona pana Covezziego zachowała swoje nazwisko rodowe Morselli, ale będzie potocznie zwana „panią Covezzi”. W tej książce autor używa obu tych form.

dróg, zagród, traktierni i opuszczonych gospodarstw rolnych, w miejscu, gdzie pozornie nic się nie działo.

Po uważnym wysłuchaniu dziecka psychologowie i pracownicy socjalni z Mirandoli natychmiast zaalarmowali władze, aby zapewniły bezpieczeństwo dzieciom pary: jedenastoletniej Veronice, dziewięcioletniemu Pietrowi, siedmioletniemu Federicowi i trzyletniej Aurorze. Zostały obudzone i zabrane. W ciągu kilku godzin ślad po nich zaginął. Jakby rozplynęły się w powietrzu. Żeby nie zabrano jej również piątego, jeszcze nienarodzonego dziecka, Lorena uciekla z kraju. Zatrzymała się w małej wiosce w Prowansji i tam urodziła. Nadal tam mieszkała, kiedy odebrała ode mnie telefon krótko po tym, jak skończyłem czytać artykuł i znalazłem jej numer.

Kobieta mówiła po włosku z wyraźnym akcentem z Bassa Modenese\*, naznaczonym już jednak przez francuskie słowa i wtrącenia, których używała, gdy się zamyśliła: *oui, voilà, bon, donc, mais non!, attendez, alors, d'accord*. Jej opowieść nie zawsze była linearna. Chwilami przypominała nieregularny lot motyla. Co jakiś czas, gdy opowiadała, przypominał się jej jakiś epizod i w tym momencie porzucała jedno wspomnienie, by iść za drugim, otwierała jeden nawias, nie zamykając poprzedniego, gubiła wątek. Potem, śmiejąc się z zakłopotaniem, wznawiała „*donc*, na czym to ja skończyłam?”. Kiedy rozmowa schodziła na jej dzieci, roztkliwiała się, a zdania kończyła zdławionym szlochem.

Po rozdzieleniu trójka starszych dzieci potwierdziła zeznania kuzynki, oskarżając Lorenę o okrutne zbrodnie: przemoc psychiczną, porwania, gwałty i przerażające mordy na

---

\* Bassa Modenese (w wolnym tłumaczeniu: Niziny Modeńskie), zwana też po prostu Bassa, to położony około 35 m n.p.m. obszar rozciągający się na północ od Modeny. W tym rejonie wydarzyła się nasza historia.

cmentarzach, gdzie wraz z mężem zmuszała ich do oglądania potworności, a niejednokrotnie do aktywnego w nich uczestnictwa.

Dzieci zostały przejęte przez opiekę społeczną i ułożyły sobie nowe życie w innych rodzinach. Dorastały w przekonaniu, że ich rodzice powinni zapłacić więzieniem za całe wyrządzone zło. Od tamtego jesiennego poranka 1998 roku nie chciały już o nich słyszeć.

Małżeństwo zostało skazane w pierwszej instancji na dwanaście lat, a następnie, w grudniu 2014 roku, po długim procesie odwoławczym uniewinnione. Delfino nie doczekał jednak końca procesu. Rok wcześniej zmarł na atak serca. Kobieta została sama z piątym dzieckiem, Stefanem. Przez lata udzielała wywiadów każdemu, kto się z nią skontaktował, aby opowiedzieć, jak służby socjalne gminy Mirandola zniszczyły wszystko, co było jej drogą, zmusiły ją do odejścia z pracy, wspólnoty parafialnej oraz rodziny i ucieczki do obcego kraju. Po szesnastu latach nie miała już nic. Została jej tylko niezachwiana wiara w Chrystusa oraz najmłodszy syn o brązowych włosach i jasnych oczach, dzięki któremu nie stoczyła się w otchłań szaleństwa.

\*

Nie wiedziałem, czy jej wierzyć. Ta opowieść pełna było luk i niejasności. Dlaczego dzieci oskarżały ją o tak straszne rzeczy? Czuję się zdezorientowany jako dziennikarz i jako ojciec. Lorena twierdziła, że to zajmujące się dziećmi psychołżki wbiły im do głowy wszystkie te historie i zwróciły je przeciwko rodzicom. Ale czy profesjonalistki mogłyby sfabrykować tak straszne historie i przekonać dzieci do ich powtarzania? Dlaczego? A jeśli to ona miała podwójną duszę?

– Opieka społeczna zabrała nie tylko moje dzieci – ciągnęła opowieść. – W latach 1997–1998, w dwóch gminach, Massa Finalese i Mirandola, zabrała ich czternaścioro... nie, przepraszam... piętnaścioro... a właściwie szesnaścioro. Wszystkie pochodziły z rodzin oskarżonych o to samo.

I kiedy wymieniała nazwiska, miejsca, wyroki i daty śmierci, z niedowierzaniem wpatrywałem się w gigantyczną czarną dziurę, która powoli zaczęła wsysać także i mnie. Ogarniało mnie uczucie udręki, oszołomienia i lęku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem.

\*

Ta historia przypominała pokrytą pyłem mozaikę. Zobaczyłem jej fragment, który natychmiast przykuł moją uwagę. Postanowiłem ją odsłonić. Dowiedzieć się, kim były pozostałe dzieci, o co oskarżono ich rodziców i jak to się stało, że została w to wszystko wmieszana rodzina Loreny.

Zacząłem zbierać materiały na temat afery pedofilskiej w Bassa Modenese. W internecie znalazłem kilka starych artykułów opisujących tę sprawę, ale ich autorzy nie zagłębiali się zbyt w szczegóły. Jeśli chciałem odtworzyć wszystkie jej etapy, potrzebowałem dokumentacji – sprawozdań opieki społecznej, protokołów przesłuchań, decyzji sądu dla nieletnich. Żądanie dostępu do akt nie wchodziło w rachubę. Zbyt wiele zachodu w zderzeniu z biurokracją. Trwałoby to wieki.

Zacząłem więc wydzwaniać do adwokatów, którzy bronili wówczas oskarżonych, pytając, czy zachowali jakieś akta, ale nie dostałem właściwie nic. To były jeszcze papierowe dokumenty. Ktoś się ich pozbył, ktoś inny zgubił je podczas przeprowadzki albo zaginęły podczas potwornego trzęsienia ziemi, które nawiedziło tę okolicę w 2012 roku,

powodując zawalenie albo trwale naruszenie konstrukcji wielu budynków. Poza tym większość ludzi w ten czy inny sposób związanych wówczas z tą sprawą nie ukrywała nieufności do dziennikarza z zewnątrz. Czego on mógł chcieć po tylu latach?

Rozmawiając z tymi nielicznymi, którzy zgodzili się na spotkanie, odnosiłem wrażenie, że z jakiegoś niejasnego powodu nikt nie chciał ponownie wsadzić nosa w tę sprawę. To było zamknięte doświadczenie, do zapomnienia. Powtarzałem stale jedno pytanie: „Czy w historiach opowydanych przez te wszystkie dzieci może się kryć jakaś prawda?”. Najczęstsza odpowiedź brzmiała: „Być może, ale mój klient nie ma z tym nic wspólnego” albo „Teraz już nie da się tego stwierdzić”.

Nikt już nie pamiętał dokładnie, ile było tych dzieci. Ilu było członków ich rodzin. Jaka była tożsamość pozostałych oskarżonych. Ile wydano wyroków skazujących, a ile uniewinniających. Jakie kary zasądono. Nikt nie był w stanie zabrać mnie w podróż w czasie. Kosztowałoby to wysiłek, na który nikt, uwikłany w tysiąc innych i znacznie pilniejszych spraw, nie mógł sobie pozwolić. Zmierzenie się z tak wielką historią byłoby zbyt skomplikowane. Zwróciłem się więc do jednej z moich najzdolniejszych koleżanek, młodej, ale obdarzonej niezwykłą intuicją dziennikarki Alessii Rafanelli. Przez następne cztery lata ta historia pochłonie nas bez reszty.

\*

I tak oto pewnego wiosennego poranka 2015 roku wsiałem do samochodu i odbyłem dwuipółgodzinną podróż z Mediolanu od Massa Finalese. Nie znalazłem tam nikogo.

Miałem tylko kilka ogólnych informacji. Przed przyjazdem do Massa zatrzymałem się jeszcze w centrum Mirandoli, zagadując każdego, kto wyglądał na więcej niż trzydzieści pięć lat, i pytając, czy coś pamięta lub kogoś zna. Pytałem o pedofilów. O rytuały na cmentarzach. O procesy. O wyroki. Byłem przekonany, że w takich małych miasteczkach, gdzie wszyscy się znają, łatwo będzie mi wyciągnąć od ludzi anegdoty, adresy i numery telefonów. Ale przechodnie i staruszkowie siedzący na ławkach przed Caffè del Teatro marszczyli tylko brwi i dziwnie na mnie patrzyli.

– Nic mi to nie mówi. To na pewno było tutaj, w Mirandoli? Aaa, coś pamiętam, ale to było dawno. I to było gdzieś na Bassa, a nie tutaj w Mirandoli!

Wszyscy, których zagadywałem, mieszkali w Mirandoli od wielu lat albo nawet od urodzenia. Nikt jednak nie pamiętał tej historii, choć przez długi czas zajmowała strony lokalnych gazet. Mieli co najwyżej jakieś mgliste wspomnienie czegoś, co wydarzyło się wiele lat temu, zresztą nie „tu”, a „tam”, na chłopskiej ziemi, którą mieszkańcy Modeny i Mirandoli nieszczerze lubią odwiedzać, chyba że szukają dobrej gospody.

Amnezja dotknęła również Massa Finalese, osadę należącą administracyjnie do miasteczka Finale Emilia, mimo że właśnie ona została najbardziej dotknięta sądowym tsunami. Przyjechałem tam od południowego zachodu, przez pola, obsadzoną drzewami szeroką drogą wzdłuż kanału.

Zaraz za znakiem wyznaczającym początek miejscowości zauważyłem po prawej stronie imponujący opuszczony trzypiętrowy budynek, długi jak boisko piłkarskie. Dalej, ponad domami i drzewami górował ekstrawagancki zamek z wieżami i blankami w stylu neogotyckim, zbudowany na początku XX wieku. Poza tym nie było nic godnego uwagi.

Piazza Caduti per la Libertà, czyli Plac Poległych za Wolność, w centrum miasteczka wyglądał raczej jak skrzyżowanie trzech ulic z posągami wykutym w białym marmurze, przedstawiającym bezimiennego piechura z lewą ręką na sercu, patrzącego gdzieś w dal, poza dachy, w stronę dzwonnicy Finale Emilia. Napis na postumencie głosił: „Massa oddaje hołd poświęceniu swoich poległych obywateli”.

Gdy już wysiadłem z samochodu, z łatwością ustaliłem główne miejsca spotkań w miasteczku. Wszystkie w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie. Prowadzony przez pewną Chinkę bar koło pomnika, gdzie koło osiemnastej młodzież zbiera się na aperitif. Nieco bardziej elegancka Pasticceria Ratti po drugiej stronie ulicy. Bar Speedy, połączenie pizzerii, kawiarni, baru z przekąskami i piwiarni, stojący zaraz za oddziałem banku i odwiedzany głównie przez starszych. I wreszcie, na północnym krańcu, Pesa Caffè, skąd odchodziła obsadzona drzewami aleja prowadząca na cmentarz.

Również tam reakcja zagadywanych przeze mnie osób była podobna. Ludzie mrużyli oczy, jakby próbowali spojrzeć w przeszłość, ale jedyne, co pamiętali, to ledwie kilka przeblysków dawnej sprawy. Wyglądało na to, że ja znam więcej szczegółów. Wszyscy wiedzieli, że „Covezzi? Tak, byli tacy państwo”, a niektórzy nawet pamiętali, że miał z tym coś wspólnego miejscowy ksiądz, „jakiś don\* Giorgio”, ale niewiele więcej. Trudno mi było uwierzyć, że sprawa takiego kalibru, jak na miasteczko liczące cztery tysiące dusz, uległa zapomnieniu. Czy naprawdę nie pamiętali? A może udawali i nie chcieli o tym mówić? Zrozumiałem, że łatwo nie będzie.

---

\* Don jest we Włoszech tytułem księdza diecezjalnego.

Kiedy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku Romano Galliera przybył do Massa Finalese, miejscowość, choć niewielka, oferowała sporo możliwości. Przedsiębiorstwa w prowincji Modena rozrastały się z dnia na dzień i istniało zapotrzebowanie na siłę roboczą. W wędliniarni Bellentani przy wjeździe do wioski pracowało mnóstwo ludzi, a chętny do pracy zawsze znajdował chętnego do zatrudnienia.

Galliera był niski i chudy jak szczapa, miał pociągłą twarz, wydatny nos, niebieskie oczy o przeszywającym spojrzeniu i duże sękatę ręce, zdecydowanie nieproporcjonalne w stosunku do reszty ciała. Skolioza, która pojawiła się w młodym wieku i nigdy nie była leczona, pozostawiła mu garb wykrzywiający prawe ramię. Urodził się w 1937 roku niedaleko Massa Finalese, w Pilastrì di Bondeno, garstce domów otoczonych polami na granicy Emilii-Romanii i Lombardii, gdzie pod opieką matki dorastał w gospodarstwie rolnym razem z dwiema siostrami, w bardzo skromnych warunkach.

Był mężczyzną milczącym i powściągliwym. Przeklinał i bluźnił mniej niż przeciętny Włoch. Nie pił. Za to palił. Papierosy bez filtra. Jeden za drugim. Nawet życie było dla niego jak papieros. Pochłaniał je w całości i na raz, nie pozostawiając nic na potem. Nie interesowała go stała praca i stabilizacja. Nie budował przyszłości, nie planował i nie oszczędzał. Co miał, to wydawał. Natychmiast. Albo przegrywał w karty po traktierniach. A gdy skończyły się pieniądze, pożyczal lub szukał jakiegoś doraźnego zatrudnienia. W jego braku puszczał oko do drobnej lokalnej bandyterki, gotów podjąć się mniej legalnej roboty. Potem wracał do traktierni, brał karty i zaczynał od nowa. W miasteczku szybko zyskał reputację obiboka i wkrótce dorobił się bezlitosnej latki „*set etto*” (w dialekcie dosłownie „siedemdziesiąt deko” – gościa, co to nie ma nawet kilograma inteligencji), bo nie potrafi utrzymać pracy nawet przez kilka tygodni.

Dorywcze prace oraz mniej godne pochwały zajęcia prowadziły go tu i tam po przygranicznym czworokącie prowincji Ferrara, Modena, Mantua i Rovigo. Miejscowi nazywają ten obszar *la Bassa*. Płaski, mulisty obszar Doliny Padu, pełen pól, bagien, rzek, kanałów i gospodarstw rolnych. Z lotu ptaka wygląda jak ogromna mozaika dziesiątek tysięcy nieregularnych, szmaragdowozielonych i ochrowożółtych kosek, rozciągająca się między zboczami Apeninów a laguną Comacchio nad Adriatykiem.

To właśnie podczas tej wędrowki Romano dostrzegł Adrianę Ponzetto, pochodzącą z Friuli dziewczynę o jasnokasztanowych włosach, dużych oczach i nieco niesymetrycznej szczęce – wyraźnie wykrzywiała usta w lewo. Była od niego piętnaście lat młodsza.

Adriana często towarzyszyła swojej matce w wiejskich zabawach tanecznych. Pewnego dnia Romano podjechał

w pobliżu ich domu, a stamtąd śledził je z pewnej odległości aż do sali tanecznej w Cerea. Gdy weszły do środka, uszkodził świece zapłonowe ich samochodu, poczekał na parkingu, a następnie wyszedł za nimi. Wkrótce po tym, gdy samochód pań Ponzetti stanął na poboczu, zatrzymał się przy nich i zaoferował pomoc. Tak się zaczęła historia Romana i Adrianę. W 1975 roku na świat przyszedł Igor, chude, milczące dziecko, bardzo podobne do matki. Dwa lata później urodziła się Barbara będąca kopią ojca.

\*

Pojawienie się dzieci nie zmieniło Gallieri. Nadal pracował niewiele i żył z dnia na dzień, zadowolając się skrawkami, które tu i ówdzie zostawiało mu życie. Zajmował z rodziną maleńkie mieszkanie pod numerem 133 przy via per Modena, na odcinku wbrew swej nazwie nie prowadzącym do Modeny, ale łączącym Finale Emilia z Massa Finalese. Cała czwórka mieszkała w jednym pokoju, nieustannie balansując na krawędzi między niedostatkiem a prawdziwym głodem. Bywało, że w spiżarni nie mieli nawet paczki makaronu i Adriana musiała po kryjomu pukać do drzwi sąsiadów. Ci zaś przez okno wychodzące na wspólne podwórko nieraz słyszeli tyrady Romana zwrócone przeciwko żonie, kiedy nie było nic do jedzenia.

\*

Pod koniec lat siedemdziesiątych pojawiła się szansa na radykalną zmianę. Jeden z lokalnych przedsiębiorców potrzebował robotników do realizacji kontraktów w Arabii Saudyjskiej i południowej Azji. Ropa naftowa oznaczała rzekę

pieniędzy, a pustynne kraje potrzebowały pracowników do budowy dróg i mostów. Jednym z nich został Galliera. Płaca była świetna: trzy tysiące dolarów miesięcznie, jak na tamte czasy fortuna. Gdy wyjeżdżał do Dżuddy, głód miał być już tylko wspomnieniem. Kolejny miraż. Problemy finansowe nadal nękały rodzinę. Romanowi w jakiś niepojęty sposób zawsze brakowało pieniędzy i zdarzało się przez długie miesiące, że z Arabii, Iranu czy Pakistanu nie docierało nawet marne sto tysięcy lirów.

Dla Adrian y komfort i stabilność pozostawały w sferze marzeń. Dzieci Gallierów były zawsze wychudzone i źle ubrane. Pewnego razu Adriana przyszła z płaczem pod drzwi sąsiadki, bo Igor w napadzie głodu otworzył szafkę i wyrzucił na podłogę wszystkie talerze. Pewnego lata, kiedy zabrakło jedzenia, a z powodu niezapłaconych rachunków wyłączono im prąd, kobieta załadowała dzieci na rower i przejechała z nimi prawie czterdzieści kilometrów, aby szukać schronienia u krewnych.

Co jej mąż robił z pieniędzmi, Adriana woląa nie dociekać. Bała się. Romano łatwo wpadał w złość i miał ciężką rękę, a ona pogodziła się z myślą, że gdy tylko wróci do Włoch, to, co zarobił za granicą, zostanie w kilka godzin przejęte przez krupiera w weneckim kasynie. Tam jej mąż zawsze się udawał, kiedy dobrze zarobił. Nie śmiała mu się przeciwstawiać. Choć nienawidziła egzystencji, na jaką ich skazywał, i była przekonana, że ma prawo oczekiwać od życia czegoś lepszego, wciąż kochała tego burkliwego mężczyznę tak samo mocno jak wtedy, gdy za niego wyszła.

\*

Pod koniec lat osiemdziesiątych eldorado na Bliskim Wschodzie się skończyło, Galliera roztrwonił wszystko i niemal wcale nie pracował. Czasem tylko Adrianie udało się zarobić parę groszy przy zbiorze gruszek u sadownika. Sytuacja finansowa rodziny przekroczyła już próg alarmowy. Igor i Barbara wyglądali coraz gorzej. Zwłaszcza Igor. Był ponury, wątły, chudy i blady, mało mówił i bardzo bał się ojca. W szkole dokuczali mu koledzy, a on stawał się jeszcze mniej pewny siebie i wycofany. Barbara była bardziej radosna, bardziej beztrojska i bardziej ogarnięta.

Byli tacy, którzy nazywali ich „brzydkimi”, „brudnymi”, a o tym, jak ich matka zdobywała pieniądze na ich wyżywienie, zaczęły krążyć złośliwe plotki. Ośrodek pomocy społecznej w Mirandoli, odpowiedzialny również za okoliczne miejscowości, wysłał opiekunkę socjalną, aby monitorowała sytuację dzieci. Lokalny oddział Caritasu przekazywał im bony zakupowe i paczki żywnościowe, choć w miasteczku byli tacy, którzy przysięgali, że widzieli Romana próbującego odsprzedać puszki sosu, paczki makaronu i kilka steków, które dali mu w sklepie mięsny.

\*

Po tym jak Galliera zostali wyeksmitowani z domu przy via per Modena po wielomiesięcznym zaleganiu z czynszem, zamieszkali na drugim piętrze skromnego bloku na osiedlu komunalnym przy via Volta. Po drugiej stronie ulicy, w dwukondygnacyjnej żółtej willi mieszkało inne małżeństwo, Oddina Paltrinieri i Silvio Panzetta, wraz z dwiema nastoletnimi córkami. Silvio, duży, smagły mężczyzna, dobrze znał Romana. Pracowali razem w Arabii Saudyjskiej. Silvio nie darzył szacunkiem tego powierzchownego i lekkomyślnego

człowieka. Ale jego żona Oddina postanowiła pomóc nie-  
szczęsnej rodzinie. Kobieta, przykuta do wózka inwalidz-  
kiego w wyniku nieszczęśliwego wypadku, który kilka lat  
wcześniej zniszczył jej nogi, miała silny charakter, udzielała  
się w lokalnej społeczności i zawsze była gotowa wyciągnąć  
pomocną dłoń do potrzebujących. Współczuła Adrianie, da-  
wała jej jedzenie i ubrania lub zapraszała na papierosa do  
kuchni na dole, gdzie wysłuchiwała jej żalów.

Po Igorze i Barbarze Adriana nie chciała mieć więcej dzieci,  
a gdy ponownie zaszła w ciążę, wołała dokonać aborcji. Jed-  
nak pod koniec 1989 roku znów zaszła w ciążę. Tym razem  
postanowiła zatrzymać dziecko. Miał mieć na imię Dario.

\*

Najmłodszy z Gallierów przyszedł na świat 16 maja  
1990 roku w szpitalu w Mirandoli jako wcześniak. Ważył  
poniżej dwóch kilogramów. Przez kilka tygodni trzymano  
go w inkubatorze. Jako dwulatek był blondwłosym, jasno-  
okim dzieckiem z lekkim zezem i pewnymi problemami  
motorycznymi. Ciągłe się o coś obijał i potykał. Był żywy  
i ekspansywny. Mała radość dwojga niezbornych i zmaga-  
jących się z problemami rodziców. Oraz jedna gęba więcej  
do wykarmienia. Warunki bytowe rodziny stale się pogar-  
szały. W przypadku najstarszego Igora doszły do tego rów-  
nież problemy psychiczne. Gdy miał piętnaście lat, rzucił  
się pod samochód prowadzony przez starszego mężczyznę,  
cudem wyszedł cało z wypadku, ale doznał licznych złamań,  
przez co stracił popołudniową pracę w miejscowej stolarni.

W domu wciąż brakowało nawet podstawowych rzeczy,  
a rodzina zdołała przetrwać jedynie dzięki solidarności sąsia-  
dów. Wkrótce jednak znów zaczęły się piętrzyć niezapłacone

raty i tak już dotowanego czynszu za mieszkanie komunalne, a wraz z nimi coraz bardziej natarczywe upomnienia ze strony gminy. Aż w poniedziałek 27 września 1993 roku o poranku w drzwiach pojawili się komornicy z nakazem eksmisji. Romano i jego rodzina dostali kilka godzin na zebranie swoich rzeczy i natychmiastowe opuszczenie mieszkania, podczas gdy wysłani przez gminę mężczyźni chodzili w górę i w dół po schodach, opróżniając pokoje ze wszystkich mebli, które mogli znaleźć. Romano nie wytrzymał. Zwinął się w kącie i rozplakał. Miał pięćdziesiąt sześć lat, żonę, trójkę dzieci i brzemień porażek na barkach. Nie widział już przed sobą żadnej przyszłości. Po południu rodzina załadowała część bagaży do starego białego talbota, który miał się stać ich nowym domem. Potem Romano wziął małego Daria za rękę i razem przeszli przez ulicę, stając w bramie małej żółtej willi Oddiny i Silvia, którzy tak bardzo im pomagali. Miał nadzieję, że uda mu się pożyczyć trzy miliony lirów\* w ostatniej, desperackiej próbie spłacenia długów.

Oddina przyjęła go w drzwiach i obrzuciła wyzwiskami. *A tse un bon da nient*, powiedziała mu w dialekcie. Do niczego się nie nadajesz. Nie jesteś w stanie nawet opłacić subsydiowanego czynszu w mieszkaniu socjalnym. Kretyn. Potem spojrzała na trzyletniego Daria. Zatrzymają go u siebie do czasu, aż Galliera znajdą nowe mieszkanie, oznajmiła.

Rozplakane dziecko weszło do żółtej willi, a rodzice odjechali, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mogliby zaparkować samochód na dłużej. Chłopiec był zagubiony i przestraszony. Oddina od razu dostrzegła, jak bardzo był wychudzony. Nic dziwnego, skoro w domu Gallierów często jedynym posiłkiem był kawałek chleba namoczony w mleku. Zaczęła więc

---

\* W przeliczeniu na współczesną walutę niecałe 2500 euro.

kupować jego zaufanie makaronem z sosem mięsnym i stekami pokrojonymi na małe kawałki, które dziecko pożerało, jak gdyby nigdy wcześniej ich nie widziało. Na piętrze na Daria czekało ciepłe łóżko z czystą pościelą i Giulia z Claudią, nastoletnie córki małżeństwa, które tuliły go na dobranoc i opowiadały mu bajki.

Ale to z Silviem dziecko związało się najbardziej. Przy nim ten wielki mężczyzna zrzucił szorstką maskę. Dario był chłopcem, a on nie miał syna. W piękne dni wczesnej jesieni ładował go do swojego białego kampera i zabierał na wycieczki do zoo, do portu w Livorno i na pokazy lotnicze do Pizy. Dziecko nabierało formy i było szczęśliwe. Ojciec i matka odwiedzali go codziennie i nawet jego integracja w przedszkolu przebiegała pomyślnie.

Wkrótce opieka społeczna z Mirandoli dowiedziała się o tymczasowym zakwaterowaniu malca i jeden z jej inspektorów poprosił Oddinę o spotkanie. Zaproponował, by weszła do programu i stała się formalną opiekunką dziecka. Przyznano by jej również subsydium w wysokości kilkuset tysięcy lirów miesięcznie. Oddina stanowczo się sprzeciwiła. Nie potrzebowała tych pieniędzy i nie chciała wchodzić do żadnego programu. Inspektor nalegał, ale kobieta była nieugięta. Dario był synem jej sąsiadów, a ona dawała mu łóżko i trzy ciepłe posiłki, dopóki oni nie będą na tyle samowystarczalni, by zabrać go do siebie. Tak się tutaj robi od zarania dziejów. Koniec historii.

\*

Tymczasem reszta rodziny zwróciła się z prośbą o pomoc do miejscowego proboszcza, don Giorgia Govoniego, znanego jako dobroczyńca ubogich i imigrantów. Duchowny

przyjął ich tymczasowo do małego mieszkania należącego do parafii w Finale Emilia i zaczął im szukać stałego lokum.

Minęła jesień i nadeszło Boże Narodzenie. Pierwszy dzień świąt, 25 grudnia, obie rodziny spędziły wspólnie w żółtej willi. Zjedli obiad przy dużym stole w salonie, a potem rozpakowali prezenty pod choinką. Dario był podekscytowany, ale wieczorem położył się do łóżka z wysoką gorączką. Następnego dnia, około 9.30, rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Jakaś kobieta przedstawiła się jako asystentka społeczna z Mirandoli. Przyszła z powodu dziecka. Właśnie znaleźli mu nowy dom w placówce prowadzonej przez jakieś zakonnice w Reggio Emilia, gdzie czekają na niego już tego ranka.

Oddina i Silvio upierali się, żeby zostawić chłopca z nimi, bo dobrze sobie radził, zaaklimatyzował się, a rodzice mogli go codziennie odwiedzać. Po co zabierać go do zakonnice, na dodatek tak daleko? Poddali się dopiero na widok orzeczenia sądu dla nieletnich w Bolonii. Z wielkim wysiłkiem i próbując powstrzymać łzy, Giulia, najstarsza z dwóch córek, przygotowała torbę z kilkoma zapasowymi ubraniami dla Daria.

Wciąż gorączkujący chłopczyk wszedł do samochodu z Giulią i Silviem. Pojechali za białym fiatem pandą pracownicy opieki społecznej aż do Reggio Emilia. Powiedzieli chłopcu, że zostanie tam przez kilka dni, a potem do nich wróci. Wiedzieli, że tak się nie stanie. Ponad godzinę później samochody zaparkowały przed budynkiem z czerwonej cegły zwanym *Cenacolo Francese*<sup>\*</sup>, instytutem dla dzieci z biednych lub problematycznych rodzin. Drzwi otworzyła

---

\* Dosł. Franciszkański Wieczernik. Założony w 1924 roku przez kapucyna Ruggera Dallarę ośrodek pomocy małym dzieciom, prowadzony przez żeńskie zgromadzenie zakonne na prawie diecezjalnym Małe Córki św. Franciszka z Asyżu.

zakonnica. Gdy tylko Dario ją zobaczył, uchwycił się szyi Silvia całą siłą swoich małych rączek. Jakby zrozumiał. Z trudem udało się go odciągnąć i zakonnica natychmiast odeszła, trzymając chłopca w ramionach, podczas gdy on wyrwał się i rozpaczliwie krzyczał. W ponurym milczeniu Silvio i Giulia wrócili do domu.

Na wieść o tym, że jego syn został zabrany do Cenacolo Francese, Romano Galliera wpadł w szal. Kłął, bluźnił i złorzeczył pracownikom opieki społecznej. Pojechał do Mirandoli, wszedł do ich urzędu i zrobił wścieklą scenę, grożąc wszystkim i przykuwając się do bramy wejściowej. Nic to nie dało. Pozwolono mu jedynie odwiedzać syna w wyznaczonych godzinach, choć nie miał już nawet samochodu. Mniej więcej dwadzieścia dni później Silvio, Oddina i ich córki pojechali odwiedzić chłopca, ale dziecko zachowywało się dziwnie, było niemal obojętne. Zarówno zakonnice, jak pracownicy socjalni z Mirandoli uważali, że lepiej, by przestali odwiedzać chłopca, aby nie narażać go na kolejne traumy.

Projekt opieki społecznej był długoterminowy. Dario miał dożyć pełnoletności pod pieczęą kogoś, kto mógłby się nim zająć i zapewnić mu przyszłość. Rodzinie wolno było widywać go tylko sporadycznie. Tak postanowiono.

Rok po zabraniu chłopca, pod koniec 1994 roku do Cenacolo Francese przybyła na staż młoda absolwentka psychologii. Miała dwadzieścia sześć lat. Nazywała się Valeria Donati. Kilka miesięcy wcześniej rozpoczęła współpracę z AUSL\* i jednym z jej pierwszych zadań było znalezienie

---

\* AUSL, *Azienda Unità Sanitaria Locale*, Lokalny Zakład Ochrony Zdrowia, nieposiadający dokładnego polskiego odpowiednika organ administracji publicznej na terenie regionu, zawiadujący realizacją szeroko pojętej polityki zdrowotnej na podległym mu terenie – przychodniami i szpitalami, hospicjami, opieką weterynaryjną, a także pomocą społeczną.

rodziny chętnej do zajęcia się najmłodszym dzieckiem państwa Galliera. Ich pierwsze spotkanie było dość krótkie i Donati nie była w stanie postawić diagnozy, od razu jednak odniosła wrażenie, że ma do czynienia z dzieckiem o znacznych brakach emocjonalnych. To była dziedzina, w której się specjalizowała. Ukończyła psychologię rozwojową i wychowawczą na uniwersytecie w Padwie, a następnie przeniosła się do Mediolanu, gdzie wzięła udział w kursach dotyczących diagnozy wykorzystywania seksualnego i maltretowania dzieci.

Po kilku miesiącach poszukiwań Donati znalazła parę, która wydawała się odpowiednia dla chłopca tak trudnego jak Dario. Enrico i Nadia Tonini mieszkali w Gonzaga, miasteczku w prowincji Mantua, i wychowywali już dwójkę dzieci pochodzących z zagranicy. Późną wiosną 1995 roku Dario opuścił Cenacolo i zamieszkał u nich. Był to jego czwarty dom w ciągu zaledwie pięciu lat.

Romano znów wpadł w furję. O ile już wcześniej miał za złe, że jego syn został zabrany do Cenacolo Francescano, o tyle teraz zaczynał dostrzegać coś podejrzanego w powiezieniu chłopca zupełnie obcym ludziom. Co oni robili z jego synem? Kto i co na tym zyskał?

Po eksmisji i kilku zmianach mieszkania on i Adriana – z pomocą don Giorgia Govoniego – znaleźli w końcu miejsce, gdzie mogli zamieszkać razem z Igorem i Barbarą. Był to piętrowy budynek przy szutrowej drodze wśród pól tuż za Massa Finalese. Łazienkę i kuchnię dzielili z rodziną, która właśnie przybyła z Albanii. Dom był stary i oddalony od innych, a kiedy na pola opadała *fumàna*, stawał się niewidoczny z głównej drogi. *Fumàna*, typowa dla tej okolicy gęsta mgła, potrafi w ciągu kilku minut zamienić najbardziej sielankowy krajobraz w upiorne miejsce. Miejscowi mówią

o niej w dialekcie *as taia col curtel*, taka, że można nożem kroić. To właśnie do tego biednego, zawilgoconego mieszkania Tonini zawozili Daria do rodziców na jeden albo dwa weekendy w miesiącu, a potem go od nich odbierali.

\*

Niechęć między obiema rodzinami pojawiła się bardzo szybko, choć nigdy nie wyszła poza cztery ściany. Państwo Tonini postrzegali rodziców i starsze rodzeństwo Daria jako wyjątkowo problematyczną rodzinę, z którą syn spotykał się niechętnie i zawsze wracał brudny i głodny. Galliera zaś byli przekonani, że Dario nie lubił swego domu zastępczego, zwłaszcza dlatego że, jak twierdził, miał się nad nim znęcać Matteo, starszy z rodzeństwa.

\*

We wrześniu 1996 roku chłopiec zaczął uczęszczać do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Pegognadze, miejscowości położonej niedaleko Gonzagi. Jego obecność nie pozostała niezauważona. Dario nie poruszał się tak jak inni. Był żywiołowy, niespokojny, nieskoordynowany. Często nagle odwracał się z plecakiem na ramionach i potrącał otaczających go uczniów. Czasami łączył ze sobą wypowiedzi pozbawione logicznego związku. Koledzy z klasy zaczęli się odsuwać, gdy był w pobliżu, również dlatego że często rozpraszał się podczas lekcji lub ją przerywał, zmuszając nauczycieli do przesadzenia go do pierwszej ławki. Rita Spinardi, jedna z jego dwóch nauczycielek, często zwracała uwagę na małego *straminato*, co w dialekcie mantuańskim oznacza ludzi z głową w chmurach. Najbardziej uderzały ją

w tym dziecku jego oczy: nieokreślone spojrzenie, które nie zdradzało ani ciekawości, ani szczególnego zainteresowania jakimkolwiek tematem. Puste spojrzenie. Spojrzenie niemowlęcia. Mały Galliera zdawał się przebywać we własnym świecie. Był nieobecny myślami, wciąż robił błędy w zeszycie, nie potrafił nawet zadbać o przybory szkolne, które ciągle spadały mu z biurka: ołówek, gumka, piórnik czy zeszyt lądowały regularnie na podłodze, przerywając lekcje i prowokując jego zakłopotaną wesołość. Jednak pomimo problemów motorycznych i ogromnych trudności w skoncentrowaniu się na czymkolwiek Rita i jej koleżanki postanowiły czekać na rozwój sytuacji i nie prosić o nauczyciela wspomagającego.

Jednak podczas przerwy bożonarodzeniowej Nadia, matka zastępcza, zauważyła coś dziwnego w zachowaniu dziecka. Jeszcze trudniej przychodziło mu skupienie się na pracy domowej\* i częściej się potykał. Jadł mniej niż zwykle, a w nocy spał bardzo niespokojnie. Na dodatek na jego ustach pojawiła się czerwona plama, rodzaj opryszczki wywołującej prawdopodobnie z obniżonej odporności.

Pani Tonini poprosiła nauczycieli, by mieli na niego baczniejsze oko. Kilka dni po powrocie do szkoły, w styczniu 1997 roku, jedna z nauczycielek wzięła ją na bok.

Opowiedziała, że podczas lekcji zawołała chłopca do biurka, aby razem z nim poprawić zadanie, a wtedy, ni z tego, ni z owego, Dario opowiedział jej, że podczas jednego z jego pobytów w domu biologicznych rodziców jego starszy brat Igor płatał siostrze Barbarze „figle pod kocem”, które go przeraziły.

---

\* Charakterystycznym elementem nauki we włoskich szkołach jest zadawanie uczniom prac domowych na ferie zimowe i wakacje letnie.

Poważnie zaniepokojona pani Tonini zasypała dziecko pytaniami. Co się działo w domu tej biednej i pozbawionej środków do życia rodziny? O jakie „figle” chodziło? Dziecko nie powiedziało jednak nic więcej. Tonini natychmiast zadzwoniła do psycholożki, która powierzyła im chłopca, Valerii Donati. Kobieta zaczęła się spotykać chłopcem. Spotkania te trwały trzy miesiące i odbywały się nawet dwa razy w tygodniu. Kiedy zaś malec wracał do domu, przybrana matka nie przestawała zarzucać go pytaniami.

\*

Romano Galliera i jego żona zostali wezwani do biur AUSL, gdzie powiedziano im, że odwiedziny ich syna zostają zawieszone na dwa miesiące. Romano przyjął to bardzo źle, zagroził nawet, że obleje się benzyną i podpali na miejscu. Ale po raz kolejny wytłumaczono mu, że powinien być cierpliwy.

Jednocześnie rozpoczęto wywiad środowiskowy na temat rodziny biologicznej Daria. Opiekunowie społeczni usłyszeli lokalną plotkę, że Barbara utrzymywała stosunki seksualne z innymi chłopcami na oczach Igora. A może nawet robiła to z samym Igorem.

Tymczasem pani Tonini zauważyła, że Dario jest w coraz gorszym stanie. Od czasu do czasu zastawała go siedzącego w ciszy i patrzącego przez okno. Jąkał się, nie jadł. Był przestraszony i coraz bardziej wycofany. Wciąż nie potrafił się skoncentrować na pracy domowej.

Trzeba było czekać aż do wczesnej wiosny, aby zaczął coś mówić. Wieczorem 11 kwietnia 1997 roku dziecko wreszcie wyjawiało matce zastępczej pewien istotny szczegół. Igor kazał mu kiedyś położyć się na brzuchu na kanapie w salonie

i „zrobił mu krzywdę w biodra”. Kobieta zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Co oznaczał ten anatomiczny szczegół? Dlaczego biodra? Gdzie dokładnie? Dario nie powiedział nic więcej.

Tonini zadzwoniła do Donati, informując ją – jak to zawsze robiła – o nowych słowach i wyrażeniach użytych przez dziecko. Minął weekend. We wtorek 15 kwietnia rano telefon w biurze ośrodka opieki społecznej w Mirandoli zadzwonił ponownie. To znowu była Tonini. Płakała. Dario opowiedział jej, że starszy brat pokazał mu swoje genitalia. Podejrzenia się potwierdziły. Oto, kim naprawdę był ten blady, małomówny nastolatek żyjący w cieniu ojca. Niebezpiecznym zboczeńcem, który nie potrafił powściągnąć swoich chuci nawet przed własnym sześciolatkiem bratem. Następnego dnia w drzwiach biura Donati pojawiła się osoba – przejęta i zdenerwowana Tonini z najgorszą wiadomością – Igor wykorzystywał seksualnie Daria. Chłopiec otworzył się i opowiedział o tym, że został zmuszony do stosunku oralnego – co zdawało się wyjaśniać obecność opryszczki na jego twarzy – po którym nastąpiły zastraszanie i groźby. A kilka dni później na jaw wyszedł nowy niepokojący fakt. Ojciec i matka. Również Romano i Adriana molestowali chłopca. Romano ostrzegał go, żeby milczał, bo jeśli powie komuś, to „będzie bolało jeszcze bardziej”. W tym momencie obie kobiety miały już jasność. Ta pozornie biedna i odizolowana rodzina w rzeczywistości składała się z bestii całkowicie niezdolnych do poskromienia swoich zwierzęcych instynktów.

Valeria Donati i osoby odpowiedzialne z ośrodka opieki społecznej w Mirandoli natychmiast skontaktowały się z prokuraturą w Modenie, która wysłała do zbadania sprawy młodego, trzydziestoletniego prokuratora

Andreę Claudianiego. Uważnie wysłuchał dziecka. Dario był już bardziej pewny siebie i mówił z coraz mniejszym wahaniem niż wtedy, gdy zimą okazywał pierwsze oznaki niepokoju. Robiło się coraz cieplej i zbliżało się lato. 17 maja grupa radiowozów wyruszyła, by aresztować Romana, Adrianę i Igora.

Policyjne radiowozy nadjechały z wyłączonymi syrenami i zablokowały oba wjazdy na via Milazzo w Mirandoli, zaś kilku funkcjonariuszy przeszło przez dziedziniec czerwonego budynku opatrzonego numerem 15. Jeden z nich energicznie przycisnął guzik domofonu z nazwiskiem „Scotta”. Był 7 lipca, godzina 4.30 rano.

Kiedy weszli na trzecie piętro i kazali sobie otworzyć drzwi, w mieszkaniu zastali młodą parę: wysokiego szczupłego dwudziestodwuletniego chłopaka o dużych uszach i wydatnych kościach policzkowych oraz filigranową Tajkę o migdałowych oczach, oliwkowej cerze i prostych czarnych włosach. Byli zaspani i zdeorientowani. Chłopak od razu zapytał, czy coś się stało z jego babcią od strony ojca, która od jakiegoś czasu chorowała. Inspektor\* Antimo Pagano, krzepki mężczyzna z długą brodą, zaprzeczył ruchem głowy.

---

\* Ranga inspektora we włoskiej policji państwowej odpowiada w przybliżeniu stopniowi aspiranta w Polsce.

– Państwo Federico Scotta i Kaempet Lamhab? Mamy nakaz rewizji. Musimy przeszukać mieszkanie.

Scotta wpuścił ich do środka i zasypał pytaniami. Funkcjonariusze odpowiedzieli jedynie, że zostanie mu doręczony protokół z przeszukania. Następnie założyli czarne lateksowe rękawiczki i zajęli się mieszkaniem. Szafy, szuflady, szafki łazienkowe, kuchnia, pralka, wszystko zostało otwarte, podniesione i starannie opróżnione. W jednej z szafek znaleźli albumy rodzinne, które natychmiast zarekwirowali.

W tym czasie, w mieszkaniu na piątym piętrze stojącego nieopodal budynku z czerwonej cegły czterdziestoczworoletnia Francesca ze łzami w oczach obserwowała taką samą scenę. Była przyjaciółką Federica i Kaempet. Policjanci pojawili się, prosząc, by obudziła swoją córkę, ośmioletnią Martę, i spakowała jej plecak wraz z ubraniem na zmianę. Nie powiedzieli nic więcej. Założyli czarne rękawiczki i zaczęli grzebać w każdym zakamarku. Nie wiedząc, do kogo się zwrócić, kobieta zadzwoniła do swojej przyjaciółki z Mirandoli.

– Anna, tu Francesca. Policja jest u mnie. Nie wiem, czego chcą, zabierają mi wszystkie zdjęcia.

– Jakie zdjęcia? – Anna nie rozumiała.

Francesca była zaniepokojona, bo podejrzewała, że rewizja ma coś wspólnego z jej córką, i domyślała się, że policjanci przyszli, by odebrać jej dziecko.

– Nie martw się – powiedziała Anna, zanim się rozłączyła – zobaczysz, że wszystko się wyjaśni.

Tymczasem w domu rodziny Scotta z małego pokoju dobiegł jęk. Trzyletnia Elisa obudziła się i zaczęła płakać. Nick, jej kilkumiesięczny braciszek, wciąż spał. Funkcjonariusze poprosili parę o przygotowanie dzieci. Dwóch z nich zażądało kluczy do golfa GT, by również tam dokonać

przeszukania. Następnie, gdy słońce stało już wysoko, polecili całej czwórce udać się na komisariat. Federico i Kaempet zapakowali do bagażnika wózek młodszego dziecka i eskortowani przez radiowozy przejechali kilkaset metrów dzielących ich dom od posterunku.

Kaempet nie rozumiała dobrze języka włoskiego. Funkcjonariusze wyjaśnili jej mężowi, że muszą na kilka minut zostawić dzieci w poczekalni, a sami mają udać się piętro wyżej, by załatwić formalności. Elisa została w fotelu, Nick w swoim wózku. Po wejściu do biura para zobaczyła kierownika ośrodka opieki społecznej w Mirandoli Marcella Burgoniego. Wąsaty, siwowłosy mężczyzna średniego wzrostu trzymał w ręku postanowienie o odebraniu parze obojga dzieci z powodu, jak to określono, „podejrzenia poważnych nadużyć”. Dario, chłopiec z Massa Finalese, zwierzył się niedawno psychologom z ośrodka pomocy społecznej, że Scotta i jego żona wspólnie z rodziną Galliera znęcali się nad nim i nad swoimi dziećmi w jakimś mieszkaniu między Massa a Mirandola. Federico wpadł w szal, przewrócił stół i razem z żoną próbował opuścić pomieszczenie, ale funkcjonariusze stojący przed drzwiami nie pozwolili mu wyjść. Kiedy w końcu zeszli na dół, aby pożegnać się z dziećmi, zastali poczekalnię pustą. Dzieci zabrał jakiś samochód. Scotta usiadł i chwycił się za głowę. Kaempet wybuchnęła płaczem. Coś takiego już raz się zdarzyło w ich życiu.

\*

Historia Federica i Kaempet zaczęła się sześć lat wcześniej na drugim końcu świata, w pubie w Bangkoku. Federico miał wtedy szesnaście lat i przyjechał tam za swoim ojcem,

wdowcem z Mirandoli, który regularnie podróżował do Tajlandii, gdzie wynajmował mieszkanie na letnie wakacje. Relacje między ojcem i synem nie były sielankowe i Federico spędzał dni samotnie, włóczęąc się po mieście i trenując w siłowni boks tajski, swoją wielką pasję. Pod koniec lat osiemdziesiątych poznał Kaempet w barze, w którym pracowała jako kelnerka. Dwoje młodych ludzi w tym samym wieku. Poszli na randkę, a wkrótce zostali parą.

Po powrocie do Włoch Federico zaczął pisać do Kaempet. Kolejne lato spędzili razem, a rok później się jej oświadczył. Pobrali się w Tajlandii i przeprowadzili do Mirandoli w lutym 1993 roku. Mieli zaledwie po osiemnaście lat. Federico zatrudnił się jako pracownik zmianowy w firmie biomedycznej, Kaempet próbowała się nauczyć włoskiego i sprzątała na czarno. W Mirandoli poznali Francescę i jej córkę Martę. Zaprzyjaźnili się.

Francesca pochodziła z Casandrino w prowincji Neapol, ale od połowy lat siedemdziesiątych mieszkała w Emilii-Romanii, gdzie samotnie wychowywała syna. Tutaj poznała swojego nowego partnera, a w 1989 roku urodziła im się córka. Koniec ich związku był burzliwy i zakończył się tak gwałtowną wymianą oskarżeń, skarg i walką o opiekę nad dzieckiem, że musieli interweniować pracownicy opieki społecznej. Ostatecznie córka pozostała przy matce i przywiązała się do młodej włosko-tajskiej pary, która spodziewała się dziecka.

Kaempet kończyła właśnie dziewiętnaście lat, kiedy zaszła w ciążę. 6 marca 1994 roku zaczęły się skurcze i Federico zawiózł ją do szpitala. Tego samego wieczoru urodziła się Elisa.

Wieczorem kilka dni później, gdy Scotta wrócił do domu, powitał go rozpaczliwy płacz dziecka. Kaempet

nie potrafiła wyjaśnić dlaczego i nie umiała uspokoić niemowlęcia. Scotta wziął dziecko na ręce i licząc na macierzyńskie doświadczenie Franceski, poprosił ją o pomoc. Elisa płakała aż do następnego ranka, kiedy to zaniepokojony Federico zabrał ją na pogotowie. Lekarze od razu zauważyli, że dziecko ma siniaki, krwiaki i jedno złamanie. Jakby zostało brutalnie pobite. Scotta zażądał od żony wyjaśnień. Co się stało dzień wcześniej? Kaempet przyznała, że Elisa wypadła jej z rąk na schodach. Tymczasem do szpitala przybyli karabinierzy wezwani przez lekarzy. Scotta zaś nie uwierzył żonie. Dlaczego trzymała wypadek w tajemnicy? Za jej milczeniem musiało się kryć coś innego. W końcu zalana łzami dziewczyna wyznała mężowi, że odwiedziła ją znajoma Tajka i że to ona skrzywdziła dziecko. Według Kaempet kobieta próbowała nakłonić ją do prostytucji i płacenia jej procentu. Gdy odmówiła, kobieta wyżyła się na małej Elisie, rzucając nią o ścianę. Kaempet trzymała to w tajemnicy przed Federikiem, bo jej znajoma zagroziła konsekwencjami wobec rodziny w Tajlandii. Federico wpadł w szal, zrobił żonie awanturę i zagroził, że ją zostawi.

Tajska burdelmama została zadenuncjowana organom porządkowym, ale równocześnie karabinierzy powiadomili opiekę społeczną w Mirandoli, która dla ostrożności zawiesiła Federicowi i Kaempet władzę rodzicielską. Gdy zagrożenie ustało, dziecko zostało powierzone innej rodzinie w niedalekiej miejscowości. Scotta mieli przejść drogę stopniowego zbliżania się do córki przed odzyskaniem pełni władzy rodzicielskiej. Zaczęli więc bywać w domu zastępczym, a po kilku miesiącach udało im się uzyskać zgodę na to, by Elisa wracała do nich na coraz dłuższe okresy. W 1997 roku, gdy dziecko miało trzy lata, wróciło do rodziców na

dobrze. A w domu czekał na nią zaledwie kilkumiesięczny braciszek Nick.

Aby uczcić jej powrót, Federico, Kaempet, Francesca i Marta wybrali się na początku lata na Lidi Ferraresi, adriatyckie wybrzeże niedaleko Comacchio. Spędzili dzień na plaży, zwiedzili opactwo Pomposa, potem poszli na wspólny posiłek do pizzerii, a tam poprosili kelnera o zrobienie im kilku pamiątkowych zdjęć. Wieczorem wybrali się na spacer po nadmorskiej promenadzie, a Francesca i Marta objęły się przy murku biegnącym wzdłuż deptaka i zapozowały do zdjęcia. To miała być ich ostatnia wspólna fotografia.

\*

Otrząsnąwszy się z początkowego szoku, Federico i Kaempet ruszyli do wyjścia. Jeszcze zanim dotarli do drzwi, usłyszeli wołanie. To była Francesca. Rozpaczliwie płakała. Ją również policjanci przywieźli na posterunek razem z córką. Francesca nie chciała wypuścić jej z ramion, ale w końcu uległa. Również Marta została zabrana do samochodu i wywieziona.

Dario, chłopiec z Massa Finalese, który oskarżył o molestowanie małżeństwo Scotta, wymienił również Francescę i jej córkę Martę.

Francesca nie mogła się uspokoić.

– Jeśli mi jej nie zwrócą, z mojego domu wyjdzie trumna – powtarzała.

Wszyscy troje usiedli na wąskim chodniku przed komisarzatem i urządzili protest. Funkcjonariusze ich usunęli, ale wkrótce wrócili na to samo miejsce. Francesca zabrała ze sobą żyletki, a kiedy policjanci znów próbowali ich odciągnąć, pocięła sobie ręce. Ona i małżeństwo Scotta zostali

tam i głośno krzycząc, zapewniali o swojej niewinności, otoczeni grupą gapiów i lokalnymi reporterami, robiącymi notatki do artykułu na następny dzień. Cały lipiec spędzili, krążąc między posterunkiem policji, biurami opieki społecznej i sądem dla nieletnich w Bolonii. Troje żalosnych pielgrzymów, brudnych, rozgorączkowanych, na skraju wytrzymałości. Nikt nie chciał ich wysłuchać ani przyjąć. Nawet kirasjerzy strzegący wejścia do pałacu prezydenckiego na Kwirynale, przed którymi stanęli 1 sierpnia, by prosić o spotkanie z prezydentem republiki Oscarem Luigim Scalfaro.

Francesca osuwała się w coraz głębszą depresję. Z Martą łączyła ją serdeczna więź i do dnia rozłąki niemal zawsze były razem. Kiedy po rozstaniu z ojcem dziewczynki sprawą zaczęła się zajmować opieka społeczna, pojawiły się silne tarcia między matką a pracownikami służb socjalnych. Francesca nie mogła znieść, że te kobiety rozmawiały z jej córką, że chciały, aby pozostawała pod opieką psychologa, że nalegały na spotkanie z ojcem. Jednak zaledwie kilka miesięcy przed odebraniem Francesce córki AUSL sporządziło raport na temat Marty, opisując ją jako dziecko znajdujące się pod dobrą opieką i bardzo przywiązane do matki, której można zarzucić co najwyżej pewną nadopiekuńczość. Jej nieobecność była dla Franceski nie do zniesienia. Czuli się samotna i opuszczona przez bliskich. Anna, przyjaciółka, do której zadzwoniła w środku nocy, gdy do jej domu wkroczyła policja, poprosiła, by nie mieszać jej do tej sprawy. Ona również miała małe dziecko i nie chciała ryzykować zwrócenia na siebie niepożądanego uwagi. Podobnie jak wielu innych ludzi, którzy zdawali się znikać z dnia na dzień z życia Franceski.

Francesca i Kaempet przygotowały pudełka z ubraniami i zabawkami dzieci, ale służby socjalne były nieugięte: żadnej paczki, żadnego prezentu, żadnej wiadomości.

Tymczasem w gazetach na całym Półwyspie Apenińskim niemal codziennie pojawiały się przypadki oskarżeń o nadużycia seksualne. W miejscowości Torre Annunziata pod Neapolem aresztowano siedemnaście osób pod zarzutem aktów przemocy seksualnej wobec około dwudziestu uczniów szkoły podstawowej. Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Casercie, wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu milionów lirów dla każdego, kto posiada informacje na temat pedofila zaczepiającego dzieci przy wyjściach ze szkół. We Florencji aresztowano właściciela baru pod zarzutem organizowania imprez narkotykowych z udziałem nieletnich. W Monzy trzy siostry w wieku czterech, sześciu i dziesięciu lat były wykorzystywane przez pięć osób w sklepie prowadzonym przez matkę dziewczynek. W Mediolanie sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna został oskarżony o stosowanie przemocy seksualnej wobec sześciorga dzieci w wieku od dziewięciu do jedenastu lat, a pewnemu wychowawcy we wspólnocie resocjalizacyjnej postawiono zarzut dopuszczania się innych czynności seksualnych wobec dziewięciu nieletnich poniżej czternastego roku życia. Teraz zaś sprawa ogromnego kalibru miała wybuchnąć w prowincji Modena.

\*

Pod koniec sierpnia małżeństwo Scotta oraz Francesca zostali wreszcie wezwani do sądu dla nieletnich w Bolonii, aby odebrać akta z protokołami i orzeczeniami. Jeden z urzędników sądowych zanotował na żółtych samoprzylepnych karteczkach adresy rodzin, którym zostały powierzone dzieci, i przez nieuwagę zostawił je przyklejone w dokumentacji. Dzięki temu Federico odkrył, że jego dzieci zostały rozdzielone. Elisa wróciła do tej samej rodziny, która

zajmowała się nią do trzeciego roku życia. Nick trafił do nieodległej miejscowości, również w prowincji Modena.

Gdy wyszli z gmachu sądu, Francesca szepnęła mu na ucho:

– Federico, przeczytałam, że Marta jest w Cenacolo Francescano w Reggio Emilia. Zawieziesz mnie do niej?

Gdy dotarli samochodem przed budynek, zauważyli, że na przylegającym doń dziedzińcu nie ma nikogo. Ponad wielką drewnianą bramą widniała czerwona tablica przedstawiająca Świętego Franciszka z dwoma wilkami. *Fiat pax in virtute tua et abundantia de manibus tuis*, brzmiał napis wzięty z łacińskiej wersji psalmu 121. „Niech będzie pokój w mocy twojej, a dostatek w basztach twoich”<sup>\*</sup>. Kaempet została w samochodzie, a Federico i Francesca obeszlą budowlę i odkryli, że od wschodu znajdował się drugi, zadrzewiony i otoczony gęstą zieloną siatką dziedziniec, z którego dobiegały dziecięce głosy. Francesca zatrzymała się, żeby zajrzeć przez ogrodzenie, i wkrótce potem zadrżała: jej córka stała wśród sosen kilka metrów od niej. Zawołała ją dwa lub trzy razy, aż dziecko odwróciło się i pobiegło w jej stronę.

– Mamusia nie zapomniała o tobie! – zawołała Francesca, powstrzymując łzy, i przerzuciła przez siatkę miękką zabawkę, z którą dziewczynka zwykła spać. Marta zapytała matkę, czy przyszła po nią, ale Francesca powiedziała jej, że w tej chwili nie może jej zabrać.

Scena przyciągnęła uwagę siostry Annarity Ferrari, energicznej pięćdziesięciolatki, która natychmiast zabrała dziecko z powrotem do budynku i rozwścieczona zasypała matkę pytaniami. Jak znalazła córkę? Kto dał jej pozwolenie

---

<sup>\*</sup> Ps 121 (122), 7. Cytat za Biblią Wujka.

na przyjazd? Kim był towarzyszący jej mężczyzna? Oboje musieli natychmiast się oddalić.

W drodze do domu Francesca poczuła się nieco lepiej. Mimo trudności z dostrzeżeniem siebie nawzajem przez gęstą siatkę ogrodzenia udało jej się nawiązać kontakt z córką. Jednak już dwa dni później u niej i u Federica pojawiła się policja z nakazem aresztowania za „utrudnianie śledztwa”. Zostali przewiezieni do więzienia Sant’Anna w Modenie i pozostali tam przez tydzień, dopóki sąd nie zamienił środka zabezpieczającego na areszt domowy.

23 września 1997 roku Elisa i Marta zostały zabrane do Mediolanu na badanie. Przeprowadziła je ginekolożka Cristina Maggioni wraz z kolegą po fachu Mauriziem Brunim. Doktor Maggioni była pod wrażeniem nieco nieśmiałej dziewczynki o kasztanowych włosach, która poddała się badaniu bez mrugnięcia powieką, wykazując uległość zupełnie nietypową jak na jej osiem lat. Marta w ogóle nie stawiała oporu, była beznamiętna. Kiedy ją dotykali, by sprawdzić, czy nie ma obrażeń, dziewczynka wydawała się „gdzie indziej”, niemal oddzielona od rzeczywistości. W opinii lekarki była to typowa postawa dzieci, które doznały bardzo poważnych nadużyć. A ona, doświadczona konsultantka mediolańskiej prokuratury, widziała już wiele takich przypadków. Późniejsze badanie potwierdziło jej wstępne podejrzenia. Skala znęcania się nad dzieckiem przekraczała wszelkie znane jej dotąd przypadki. Jednak bezsporne ustalenie okresu, w jakim Marta doświadczała przemocy, nie było możliwe. Mógł się on rozpocząć wiele lat temu i trwać bardzo długo. Ale równie dobrze wszystko mogło zacząć się i skończyć przed czterema laty.

Kiedy badanie dobiegło końca, doktor Maggioni powiedziała Marcie, że „tam na dole” są „znaki”. Następnie

spojrzała jej w oczy i poprosiła, by nie trzymała w sobie żadnych tajemnic. Jeśli ma coś do powiedzenia, powinna to wyjawiać.

\*

Nie minęło wiele czasu, gdy wynik tego badania wyciekł do lokalnych i ogólnokrajowych mediów. Francesca i Federico odkryli to przez czysty przypadek dwa dni później z telewizora. Donosiły o nim wiadomości w teletekście, była w nich nawet mowa o „wielu zbieżnych symptomach, które czyniły istnienie wcześniejszych nadużyć bardzo prawdopodobnym” i o poważnych uszkodzeniach, mogących zagrozić ewentualnemu przyszłemu macierzyństwu dziewczynki. Lekarka oświadczyła, że przez dwadzieścia lat praktyki nie widziała czegoś tak ohydneho.

Osamotnioną w areszcie domowym, pozbawioną możliwości komunikowania się z kimkolwiek poza swoim adwokatem matkę Marty ogarnęła zgryzota, z której nie była w stanie się podnieść. Nie dość, że jakieś dziecko oskarżało ją o udział w orgiach, gdzie wykorzystywano seksualnie dzieci, to jeszcze potwierdzał to wszystko raport medyczny.

\*

W niedzielę 28 września około pory obiadowej adwokat Ettore Savoca odebrał telefon od Franceski. Kobieta szmatycznie płakała. Próbował ją pocieszyć i przypominał o rozprawie, która miała się odbyć tydzień później przed specjalnym organem sądu oceniającym zasadność aresztów i innych środków zapobiegawczych wobec oskarżonych.

Izba ta znana była ówczesnie jako *Tribunale della libertà*, trybunał wolności.

– Mnie wolność nie interesuje – odparła. – Zależy mi tylko na moim dziecku.

O 14.00 w domu małżeństwa Scotta zadzwonił telefon. Federico – również przebywający w areszcie domowym – nie mógł go odebrać, więc słuchawkę podniosła Kaempet i przełączyła na głośnomówiący. Francesca majaczyła. Brzmiała jak pijana.

– Byliście mi bliscy. Nie zniosę tego dłużej. Spróbujcie zachować spokój i bronić się najlepiej, jak potraficie.

Federico próbował coś powiedzieć, ale kobieta się już rozłączyła. Obawiając się najgorszego, zadzwonili na policję.

Tymczasem Francesca wzięła kartkę i napisała: „Jestem niewinna. Chcę tylko odzyskać moją dziewczynkę”.

Kiedy funkcjonariusz policji drogowej z Mirandoli Antonio Presti dotarł pod budynek z czerwonej cegły przy via Statale 12, spojrział w górę i dostrzegł sylwetkę wychylającą się z balkonu na piątym piętrze. Wraz z drugim policjantem wbiegł do środka i próbował otworzyć drzwi wejściowe, zamknięte jedynie na łańcuch i otwierające się na tyle, że można było dostrzec kobietę siedzącą okrakiem na poręczy. Presti i jego kolega kopniakiem otworzyli drzwi i wbiegli do środka, ale wówczas Francesca już spadała. Parę godzin później lekarze z pogotowia w Mirandoli stwierdzili zgon.

\*

Następnego dnia Marta nie poszła do szkoły. Siostry z Cenacolo Franceseano powiedziały jej, że ktoś przyjdzie do niej z ważną wizytą. Dziewczynka nie widziała matki od miesiąca. Początkowo tęskniła za nią, prosiła, by zabrać

ją do domu, powtarzała, że nikt jej nic nie zrobił. Jednak z biegiem dni jej uczucia stawały się sprzeczne. Od czasu rozdzielenia z matką spotykała się z nią znana już nam młoda psycholożka z AUSL Valeria Donati. To jej i siostrze Annaricie Ferrari dziecko wyznało, że na myśl o ponownym spotkaniu z matką trochę się boi. Zwłaszcza po badaniu lekarskim. Doktor Maggioni powiedziała jej wyraźnie, że „tam na dole” jest jakiś problem, więc coś musiało się stać. Dziecko musiało podjąć wysiłek, żeby to sobie przypomnieć, bo czasem się zdarza, że człowiek wypiera złe doświadczenia. Marta była zdezorientowana. Mimo nalegań zakonnicy, aby opowiedziała całą historię, niczego nie potrafiła sobie przypomnieć.

Ten poniedziałek był jednak inny. Nikt nie zadawał jej pytań o przeszłość i o matkę. Psycholożka i pracownica opieki społecznej przyszły rano do Cenacolo iabrały ją na bok wraz z siostrą Annaritą. Kiedy przekazały jej wiadomość, że jej matka nie żyje, dziewczynka oparła głowę na kolanach zakonnicy i płakała tak długo, aż zasnęła. Po przebudzeniu poszła bawić się z innymi dziećmi. W następnych dniach pytała, kiedy znów będzie mogła zobaczyć matkę.

– Ona nie żyje – powtarzała jej siostra Annarita. – Jeśli zrobiła coś złego i tego żałuje, Pan będzie miał ją w swojej opiece.

W następnych dniach zakonnica kilkakrotnie zastawała Martę na wieczornej modlitwie w łódeczku.

– Żeby mama się nawróciła, wtedy pójdzie do Jezusa.

– Dlaczego? – siostra Annarita zapytała ją pewnego razu. – Jak myślisz, co ona zrobiła?

– Biła mnie, kiedy nie byłam grzeczna.

Dla dziecka była to niespokojna jesień. Nakładały się na siebie wspomnienia i diametralnie różne emocje. Siostry zauważyły, że szyja dziecka „puchnie”, co było

prawdopodobnie psychofizyczną reakcją na złe samopoczucie. Zaczęła nieregularnie jeść, była roztargniona w szkole, coraz rzadziej się bawiła, nie spała, dręczyły ją nocne koszmary. Oscylowała niczym wahadło zegara między pewnością, że nic jej się nigdy nie stało, a niepokojem, że w jakimś odległym zakątku jej pamięci znajduje się pudełko, którego nie miała odwagi otworzyć. Na pewno zamknęła w nim coś bardzo złego. A kobiety, które z taką miłością się nią opiekowały, zapraszały ją, by się od tego zła uwolniła. Pewnego grudniowego wieczoru przed zaśnięciem dziewczynka zwierzyła się jednej z sióstr, że boi się ciemności i koszmarów. Obawiała się, że ktoś po nią przyjdzie.

– Ale kto miałby po ciebie przyjść?

– Niedobrzy ludzie.

– Kim są ci ludzie?

– Boję się. Wstydę się.

Potem stopniowo zbierała się na odwagę, otwierała pudełko, wokół którego krążyła od ponad pięciu miesięcy, i zaglądała do środka. Jej matka Francesca, która postanowiła rzucić się z balkonu, by uniknąć konfrontacji z rzeczywistością, pozostawiając córkę samą na świecie z udręką i poczuciem winy, wcale nie była dla niej tak dobra, jak się wydawało. W przeszłości zabierała ją czasem do mieszkania pod Mirandolą, gdzie mieszkało dwóch mężczyzn, którzy ją molestowali. Nazywali się Marco i Matteo. Na zmianę robili zdjęcia lub filmowali, a na koniec dawali matce pieniądze. Czasami towarzyszył im również przyjaciel matki Federico Scotta. I w tym mieszkaniu zdarzało się jej widzieć inne dzieci. Marta usilnie próbowała sobie przypomnieć, jak się nazywały i gdzie znajdowało się to mieszkanie. Jednak mimo wkładanego w to wysiłku, nie potrafiła. Coś ją blokowało. Może trauma. Może wstyd. Może strach.

– Czy znasz chłopca o imieniu Dario? – zapytały ją psychołożka i zakonnica. – To on wspomniał o tobie.

Ale Marta nie mogła sobie przypomnieć. Była coraz bardziej zagubiona.

Pewnego popołudnia siostry zostawiły dzieci, aby wraz z nauczycielką oglądały kreskówkę w telewizji. W jednej ze scen pojawiły się czaszki. Marta ożywiła się i odzyskała fragment pamięci. Jej matka też miała taką. I widziała podobne w domu Marca i Mattea.

\*

Oczom doktor Donati i kierownika oddziału opieki społecznej Marcella Burgoniego jawił się coraz bardziej przerażający scenariusz. Minął rok, odkąd Dario po raz pierwszy zaczął zdradzać niepokojące oznaki. Jego milczenie, niepokój i wahania, które wzbudziły podejrzenia opiekunów, musiały skrywać drzwi prowadzące do nieskończonego bardziej złożonego świata. Być może ci ludzie, stopniowo identyfikowani między Massa Finalese a Mirandolą, nie byli tylko bandą szumowin gotowych sprzedawać i kupować dzieci za kilkadziesiąt tysięcy lirów. Może byli tylko wierzchołkiem góry lodowej. Pozostawało do odkrycia, jak duża była podwodna część tej góry. Ale biorąc pod uwagę to, co już wiadano, pod spodem musiał kryć się świat, w którym niewiele było człowieczeństwa.